

ADAM MICKIEWICZ

BALLADY I ROMANSE

ZixO Reader

Spis treści

PIERWIOSNEK.....	3
ROMANTYCZNOŚĆ.....	5
ŚWITEŻ - BALLADA.....	8
ŚWITEZIANKA - BALLADA.....	15
RYBKA – BALLADA (ze śpiewu gminnego).....	21
POWRÓT TATY – BALLADA.....	27
KURHANEK MARYLI – ROMANS (Myśl ze śpiewu litewskiego).....	30
DO PRZYJACIÓŁ.....	35
TO LUBIĘ - BALLADA.....	37
RĘKAWICZKA – POWIASTKA (Z Szyllera).....	42
PANI TWARDOWSKA - BALLADA.....	45
LILIJE – BALLADA (z pieśni gminnej).....	49
TUKAJ ALBO PRÓBY PRZYJAŻNI - ballada we czterech częściach.....	63
DUDARZ - Myśl z pieśni gminnej.....	74

PIERWIOSNEK

Z niebieskich najrańszą piosnek
Ledwie zadzwonił skowronek,
Najrańszy kwiatek pierwiosnek
Błysnął ze złotych obsłonek.

JA

Za wcześnie, kwiatku, za wcześnie,
Jeszcze północ mrozem dmucha,
Z gór białe nie zeszyły pleśnie,
Dąbrowa jeszcze nie sucha.

Przymruż złociste światełka,
Ukryj się pod matki rąbek,
Nim cię zgubi śronu ząbek

Lub chłodnej rosy perełka.

KWIATEK

Dni nasze jak dni motylka,
Życiem wschód, śmiercią południe;
Lepsza w kwietniu jedna chwilka
Niż w jesieni całe grudnie.

Czy dla bogów szukasz datku,
Czy dla druha lub kochanki,
Upleć wianek z mego kwiatku,
Wianek to będzie nad wianki.

JA

W podlej trawce, w dzikim lasku
Urosłeś, o kwiatku luby!
Mało wzrostu, mało blasku,
Cóż ci daje tyle chluby?

Ni to kolory jutrzenki,
Ni zawoje tulipana,
Ni lilijowe sukienki,
Ni róży pierś malowana.

Uplatam ciebie do wianka;
Lecz skądże ufności tyle!
Przyjaciele i kochanka

Czy cię powitają mile?

KWIATEK

Powitają przyjaciele

Mnie, wiosny młodej aniołka;

Przyjaźń ma blasku niewiele

I cień lubi jak me ziołka.

Czym kochanki godzin rączek,

Powiedz, niebieska Marylko!

Za pierwszy młodości pączek

Zyskam pierwszą... ach! łzę tylko.

ROMANTYCZNOŚĆ

Methinks, I see... Where?
- In my mind's eyes.
Shakespeare

Zdaje mi się, że widzę... gdzie?
Przed oczyma duszy mojej.

Słuchaj, dziewczeczko!

- Ona nie słucha -

To dzień biały! to miasteczko!

Przy tobie nie ma żywego ducha.

Co tam wkoło siebie chwytasz?
Kogo wołasz, z kim się witasz?
- Ona nie słucha. –
- To jak martwa opoka
Nie zwróci w stronę oka,
To strzela wkoło oczyma,
To się łzami zaleje;
Coś niby chwyta, coś niby trzyma;
Rozplącze się i zaśmieje.
„Tyżeś to w nocy? to ty, Jasieńku!
Ach! i po śmierci kocha!
Tutaj, tutaj, pomaleńku,
Czasem usłyszysz macocha!
Niech sobie słyszy, już nie ma ciebie!
Już po twoim pogrzebie!
Ty już umarłeś? Ach! ja się boję!
Czego się boję mego Jasieńka?
Ach, to on! lica twoje, oczki twoje!
Twoja biała sukienka!
I sam ty biały jak chusta,
Zimny, jakie zimne dłonie!
Tutaj połów, tu na łonie,
Przyciśnij mnie, do ust usta!
Ach, jak tam zimno musi być w grobie!
Umarłeś! tak, dwa lata!
Weź mię, ja umrę przy tobie,
Nie lubię świata.

Źle mnie w złych ludzi tłumie,
Płaczę, a oni szydzą;
Mówię, nikt nie rozumie;
Widzę, oni nie widzą!
Śród dnia przyjdź kiedy... To może we śnie?
Nie, nie... trzymam ciebie w ręku.
Gdzie znikasz, gdzie, mój Jasieńku!
Jeszcze wcześniej, jeszcze wcześniej!
Mój Boże! kur się odzywa,
Zorza błyska w okienku.
Gdzie znikłeś? ach! stój, Jasieńku!
Ja nieszczęśliwa”.
Tak się dziewczyna z kochankiem pieści,
Bieży za nim, krzyczy, pada;
Na ten upadek, na głos boleści
Skupia się ludzi gromada.
„Mówcie pacierze! - krzyczy prostota -
Tu jego dusza być musi.
Jasio być musi przy swej Karusi,
On ją kochał za żywota!”
I ja to słyszę, i ja tak wierzę,
Płaczę i mówię pacierze.
„Słuchaj, dziewczeczko!” - krzyknie śród zgiełku
Starzec, i na lud zawoła:
„Ufajcie memu oku i szkiełku,
Nic tu nie widzę dokoła.
Duchy karczemnej tworem gawiedzi,

W głupstwa wywarzone kuźni.
Dziewczyna duby smalone bredzi,
A gmin rozumowi bluźni”.
„Dziewczyna czuje, - odpowiadam skromnie -
A gawieź wierzy głęboko;
Czucie i wiara silniej mówi do mnie
Niż mędrca szkiełko i oko.
Martwe znasz prawdy, nieznane dla ludu,
Widzisz świat w proszku, w każdej gwiazd iskierce.
Nie znasz prawd żywych, nie obaczysz cudu!
Miej serce i patrzaj w serce!

ŚWITEŹ - BALLADA

Do Michała Wereszczaki
Ktokolwiek będziesz w nowogródzkiej stronie,
Do Płużyn ciemnego boru
Wjechawszy, pomnij zatrzymać tve konie,
Byś się przypatrzył jezioru.
Świteź tam jasne rozprzestrzenia łona,
W wielkiego kształcie obwodu,
Gęstą po bokach puszcza oczerniona,
A gładka jak szyba lodu.
Jeżeli nocną przybliżysz się doba
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą,
I dwa obaczysz księżyce.

Niepewny, czyli szklanna spod twej stopy
Pod niebo idzie równina,
Czyli też niebo swoje szklane stropy
Aż do nóg twoich ugina:
Gdy oko brzegów przeciwnych nie sięga,
Dna nie odróżnia od szczytu,
Zdajesz się wisieć w środku niebokręga.
W jakiejś otchłani błękitu.
Tak w noc, pogodna jeśli służy pora,
Wzrok się przyjemnie ułudzi;
Lecz żeby w nocy jechać do jeziora,
Trzeba być najśmielszym z ludzi.
Bo jakie szatan wyprawia tam harce!
Jakie się larwy szamocą!
Drzę cały, kiedy bają o tym starce,
I strach wspominać przed nocą.
Nieraz wśród wody gwar jakoby w mieście,
Ogień i dym bucha gęsty,
I zgiełk walczących, i wrzaski niewieście,
I dzwonów gwałt, i zbrój chrzęsty.
Nagle dym spada, hałas się uśmierza,
Na brzegach tylko szum jodły,
W wodach gadanie cichego pacierza
I dziewic żałośnie modły.
Co to ma znaczyć? różni różnie plotą,
Cóż, kiedy nie był nikt na dnie;
Biegają wieści pomiędzy prostotą,

Lecz któż z nich prawdę odgadnie?
Pan na Płużynach, którego pradziady
Były Świtezi dziedzice,
Z dawna przemyślał i zasięgał rady,
Jak te zbadać tajemnice.
Kazał przybory w bliskim robić mieście
I wielkie sypał wydatki;
Związano niewód, głęboki stóp dwieście,
Budują czółny i statki.
Ja ostrzegałem: że w tak wielkim dziele
Dobrze, kto z Bogiem poczyna,
Dano więc na mszę w niejednym kościele
I ksiądz przyjechał z Cyryna.
Stanął na brzegu, ubrał się w ornaty,
Przeżegnał, pracę pokropił,
Pan daje hasło: odbijają baty,
Niewód się z szumem zatopił.
Topi się, pławki na dół z sobą spycha,
Tak przepaść wody głęboka.
Prężą się liny, niewód idzie z cicha,
Pewnie nie złowią ni oka.
Na brzeg oboje wyjęto już skrzydło.
Ciągną ostatek wężerzy;
Powiemże, jakie złowiono straszycło?
Choć powiem, nikt nie uwierzy.
Powiem jednakże: nie straszycło wcale,
Żywa kobieta w niewodzie,

Twarz miała jasną, usta jak korale,
Włos biały skąpany w wodzie.
Do brzegu dąży; a gdy jedni z trwogi
Na miejscu stanęli głazem,
Drudzy zwracają ku ucieczce nogi,
Łagodnym rzecze wyrazem;
„Młodzieńcy, wiecie, że tutaj bezkarnie
Dotąd nikt statku nie spuści,
Każdego śmiałka jezioro zagarnie
Do nieprzebrnionych czeluści.
I ty, zuchwały, i twoja gromada
Wraz byście poszli w głębinie,
Lecz że to kraj był twojego pradziada,
Że w tobie nasza krew płynie -
Choć godna kary jest ciekawość pusta,
Lecz żeście z Bogiem poczęli,
Bóg wam przez moje opowiada usta
Dzieje tej cudnej topieli.
Na miejscach, które dziś piaskiem zaniósł,
Gdzie car i trzcina zarasta,
Po których teraz wasze biega wiosło,
Stał okrąg pięknego miasta.
Świtez, i w sławne orężem ramiona,
I w kraśne twarze bogata,
Niegdyś od książąt Tuhanów rządzona
Kwitnęła przez długie lata.
Nie ćmił widoku ten ostęp ponury;

Przez żyzne wskrós okolice
Widać stąd było Nowogródzkie mury,
Litwy naówczas stolicę.
Raz niespodzianie obległ tam Mendoga
Potężnym wojskiem Car z Rusi,
Na całą Litwę wielka padła trwoga,
Że Mendog poddać się musi.
Nim ściągnął wojsko z odległej granicy,
Do ojca mego napisze:
„Tuhanie! w tobie obrona stolicy,
Spiesz, zwołaj twe towarzysze”.
Skoro przeczytał Tuhana list książęcy
I wydał rozkaz do wojny,
Stanęło zaraz mężów pięć tysięcy,
A każdy konny i zbrojny.
Uderzą w trąby, rusza młodź, już w bramie
Błyska Tuhana porzecz,
Lecz Tuhana stanie i ręce załamie,
I znowu jedzie na dworzec.
I mówi do mnie: „Jaż własnych mieszkańców
Dla obcej zgubię odsiecz?”
Wszak wiesz, że Świtez nie ma innych szanów
Prócz naszych piersi i mieczy.
Jeśli rozdzielię szczupłe wojsko moje,
Krewnemu nie dam obrony;
A jeśli wszyscy pociągniem na boje,
Jak będą córki i żony?”

„Ojczy, odpowiem, lękaś się niewcześnie,
Idź, kędy sława cię woła,
Bóg nas obroni: dziś nad miastem we śnie
Widziałam jego anioła.
Okrzył Świtez miecza błyskawicą
I nakrył złotymi pióry,
I rzekł mi: „Póki męże za granicą,
Ja bronię żony i córy”.
Usłuchał Tuhana i za wojskiem goni,
Lecz gdy noc spadła ponura,
Słychać gwar z dala, szczęk i tętent koni,
I zewsząd straszny wrzask: „ura!”
Zagrzmiały tarany, padły bram ostatki,
Zewsząd pocisków grad leci,
Biegają na dworzec starce, nędzne matki,
Dziewice i drobne dzieci.
„Gwałtu! - wołają - zamykajcie bramę!
Tuż, tuż za nami Ruś wali.
Ach! zgińmy lepiej, zabijmy się same,
Śmierć nas od hańby ocali”.
Natychmiast wściekłość bierze miejsce strachu;
Miecz bogactwa na stosy,
Przynoszą zagwie i płomień do gmachu
I krzyczą strasznymi głosy:
„Przeklęty będzie, kto się nie dobije!”
Broniłam, lecz próżny opór,
Kłęczą, na progach wyciągają szyje,

A drugie przynoszą topor.
Gotowa zbrodnia: czyli wezwać hordy
I podłe przyjąc kajdany,
Czy bezbożnymi wytępić się mordy;
„Panie! - zawołam - nad pany!
Jeśli nie mozem ujść nieprzyjaciela,
O śmierć błagamy u ciebie,
Niechaj nas lepiej twój piorun wystrzela
Lub żywych ziemia pogrzebie.”
Wtem jakaś białość nagle mię otoczy,
Dzień zda się spędzać noc ciemna,
Spuszczam ku ziemi przerażone oczy,
Już ziemi nie ma pode mną.
Takeśmy uszły zhańbienia i rzezi;
Widzisz to ziele dokoła,
To są małżonki i córki Świtezi,
Które Bóg przemienił w zioła.
Białawym kwieciami, jak białe motylki,
Unoszą się nad topielą;
List ich zielony jak jodłowe szpilki,
Kiedy je śniegi pobielą.
Za życia cnoty niewinnej obrazy,
Jej barwę mają po zgonie,
W ukryciu żyją i nie cierpią skazy,
Śmiertelne nie tkną ich dłonie.
Doświadczył tego car i ruska zgraja,
Gdy, piękne ujrzawszy kwiecie,

Ten rwie i szyszak stalony umaja,
Ten wianki na skronie plecie.
Kto tylko ściągnął do głębini ramię,
Tak straszna jest kwiatów władza,
Że go natychmiast choroba wyłamie
I śmierć gwałtowna ugadza.
Choć czas te dzieje wymazał z pamięci,
Pozostał sam odgłos kary,
Dotąd w swych baśniach prostota go święci
I kwiaty nazywa cary”.
To mówiąc pani z wolna się oddala,
Topią się statki i sieci,
Szum słyhać w puszczy, poburzona fala
Z łoskotem na brzegi leci.
Jezioro do dna pękło na kształt rowu,
Lecz próżno za nią wzrok goni,
Wpadła i falą nakryła się znowu,
I więcej nie słyhać o niej.

ŚWITEZIANKA - BALLADA

Jak iż to chłopiec piękny i młody?
Jaka to obok dziewczica?
Brzegami sinej Świtezi wody
Idą przy świetle księżycy.
Ona mu z kosza daje maliny,

A on jej kwiatki do wianka;
Pewnie kochankiem jest tej dziewczyny,
Pewnie to jego kochanka.
Każdą noc prawie, o jednej porze,
Pod tym się widzą modrzewiem.
Młody jest strzelcem w tutejszym borze,
Kto jest dziewczyna? - ja nie wiem.
Skąd przyszła? - darmo śledzić kto pragnie,
Gdzie uszła? - nikt jej nie zbada.
Jak mokry jaskier wschodzi na bagnie,
Jak ognik nocny przepada.
„Powiedz mi, piękna, luba dziewczyno,
Na co nam te tajemnice,
Jaką przybiegłaś do mnie drożyną?
Gdzie dom twój, gdzie są rodzice?
Minęło lato, zżółkniały liścia
I dżdżysta nadchodzi pora,
Zawsze mam czekać twojego przyścia
Na dzikich brzegach jeziora?
Zawszeż po kniejach jak sarna płocha,
Jak upiór błądzisz w noc ciemną?
Zostań się lepiej z tym, kto cię kocha,
Zostań się, o luba! ze mną.
Chateczka moja stąd niedaleka
Pośrodku gęstej leszczyny;
Jest tam dostatkiem owoców, mleka,
Jest tam dostatkiem zwierzyny”.

„Stój, stój - odpowie - hardy młokosie,
Pomnę, co ojciec rzekł stary:
Słowicze wdzięki w mężczyzny głosie,
A w sercu lisie zamiary.
Więcej się waszej obłudy boję,
Niż w zmienne ufam zapaly,
Może bym prośby przyjęła twoje;
Ale czy będziesz mnie stały?”
Chłopiec przyklęknął, chwycił w dłoń piasku,
Piekielne wzywał potęgi,
Klął się przy świętym księżycu blasku,
Lecz czy dochowa przysięgi?
„Dochowaj, strzelcze, to moja rada:
Bo kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!”
To mówiąc dziewczka więcej nie czeka,
Wieniec włożyła na skronie
I pożegnawszy strzelca z daleka,
Na zwykłe uchodzi błonie.
Próżno się za nią strzelec pomyka,
Rączym wybiegom nie sprostał,
Znikła jak lekki powiew wietrzyka,
A on sam jeden pozostał.
Sam został, dziką powraca drogą,
Ziemia uchyla się grząska,
Cisza wokoło, tylko pod nogą

Zwiędła szeleszcze gałązka.
Idzie nad wodą, błędny krok niesie,
Błędnymi strzela oczyma;
Wtem wiatr zaszumiał po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.
Burzy się, wzdyma, pękają tonie,
O niesłychane zjawiska!
Ponad srebrzyste Świtezi błonie
Dziewicza piękność wytryska.
Jej twarz jak róży bladej zawoje,
Skropione jutrenki łąką;
Jako mgła lekka, tak lekkie stroje
Obwiały postać niebieską.
„Chłopcze mój piękny, chłopcze mój młody -
Zanuci czule dziewica -
Po co wokoło Świteziu wody
Błądzisz przy świetle księżycy?
Po co żałujesz dzikiej wietrznicy,
Która cię zwabia w te knieje:
Zawraca głowę, rzuca w tęsknicy
I może jeszcze się śmieje?
Daj się namówić czułym wyrazem,
Porzuć wzdychania i żale,
Do mnie tu, do mnie, tu będziem razem
Po wodnym pląsać kryształe.
Czy zechcesz niby jaskółka chybka
Oblicze tylko wód muskać,

Czy zdrów jak rybka, wesół jak rybka,
Cały dzień ze mną się pluskać.
A na noc w łożu srebrnej topieli
Pod namiotami źwierciadeł,
Na miękkiej wodnych lilijek bieli.
Śród boskich usnąć widziadeł”.
Wtem z zasłon błysną piersi łabędzie,
Strzelec w ziemię patrzy skromnie,
Dziewica w lekkim zbliża się pędzie
I „Do mnie, woła, pójdź do mnie”.
I na wiatr lotne rzuciwszy stopy,
Jak tęcza śmiga w krąg wielki,
To znowu siekąc wodne zatopy,
Srebrnymi pryska kropelki.
Podbiega strzelec i staje w biegu,
I chciałby skoczyć, i nie chce;
Wtem modra fala, prysnąwszy z brzegu,
Z lekka mu w stopy załechce.
I tak go łechce, i tak go znęca,
Tak się w nim serce rozplęwa,
Jak gdy tajemnie rękę młodzieńca
Ścisnie kochanka wstydliva.
Zapomniał strzelec o swej dziewczynie,
Przysięgą pogardził świętą,
Na zgubę oślep bieży w głębinie,
Nową zwabiony ponętą.
Bieży i patrzy, patrzy i bieży;

Niesie go wodne przestworze,
Już z dala suchych odbiegł wybrzeży,
Na średnim igra jeziorze.
I już dłoń śnieżną w swej ciśnie dłoni,
W pięknych licach topi oczy,
Ustami usta różane goni
I skoczne okręgi toczy.
Wtem wietrzyk świsnął, obłoczek pryska,
Co ją w łudzącym krył blasku;
Poznaje strzelec dziewczynę z bliska,
Ach, to dziewczyna spod lasku!
„A gdzie przysięga? gdzie moja rada?
Wszak kto przysięgę naruszy,
Ach, biada jemu, za życia biada!
I biada jego złej duszy!
Nie tobie igrać przez srebrne tonie
Lub nurkiem pluskać w głąb jasną;
Surowa ziemia ciało pochłonie,
Oczy twe żwirem zagasną.
A dusza przy tym świadomym drzewie
Niech lat doczeka tysiąca,
Wiecznie piekielne cierpiąc żarzewie
Nie ma czym zgasić gorąca”.
Słyszysz to strzelec, błędny krok niesie,
Błędny rzuca oczyma;
A wichur szumi po gęstym lesie,
Woda się burzy i wzdyma.

Burzy się, wzdyma i wre aż do dna,
Kreconym nurtem pochwyca,
Roztwiera paszczę otchłań podwodna,
Ginie z młodzieńcem dziewica.
Woda się dotąd burzy i pieni,
Dotąd przy świetle księżyca
Snuje się para znikomych cieni;
Jest to z młodzieńcem dziewica.
Ona po srebrnym płąsa jeziorze,
On pod tym jęczy modrzewiem.
Kto jest młodzieniec? - strzelcem był w borze.
A kto dziewczyna? - ja nie wiem.

RYBKA – BALLADA (ze śpiewu gminnego)

Od dworu, spod lasa, z wioski,
Smutna wybiega dziewica,
Rozpuściła na wiatr włoski
I łzami skropiła lica.
Przybiega na koniec łączki,
Gdzie w jezioro wpada rzeka;
Załamuje białe rączki
I tak żałośnie narzeka:
„O wy, co mieszkacie w wodzie,
Siostry moje Świtezianki,
Słuchajcie w ciężkiej przygodzie

Głosu zdradzonej kochanki.
Kochałam pana tak szczerze,
On mię przysięgał zaślubić,
Dziś księżnę za żonę bierze,
Krysię ubogą chce zgubić.
Niechże sobie żyją młodzi,
Niech się z nią obłudnik pieści,
Niech tylko tu nie przychodzi
Urągać się z mych boleści.
Dla opuszczonej kochanki
Cóż pozostało na świecie?
Przyjmijcie mię, Świtezianki!
Lecz moje dziecię... ach, dziecię!”
To mówiąc rzewnie zapłacze.
Rączkami oczy zasłoni
I z brzegu do wody skacze,
I w bystrej nurza się toni.
Wtem z lasu, gdzie się dwór bieli,
Tysiączne świecą kagańce,
Zjeżdżają goście weseli,
Muzyka, hałas i tańce.
Lecz mimo tego hałasu
Płacz dziecięcia słyhać w lesie,
Wierny sługa wyszedł z lasu
I dziecię na ręku niesie.
Ku wodzie obraca kroki,
Gdzie łoża, gęsto spleciona,

Wzdłuż wykręconej zatoki
Okryła rzeki ramiona.
Tam staje w ciemnym zakątku,
Placze i woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku!
Ach! gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?”
„Tu jestem, w rzece u spodu” -
Cichy mu głos odpowiada -
Tutaj drzę cała od chłodu,
A żwir mnie oczki wyjada.
„Przez żwir, przez ostre kamuszki
Fale mnie gwałtowne niosą;
Pokarm mój koralki, muszki.
A zapijam zimną rosą”.
Lecz sługa, jak na początku,
Tak wszystko woła: „Niestety!
Ach, któż da piersi dzieciątku?
Ach, gdzie ty, Krysiu, ach, gdzie ty?”
Wtem się coś z lekka potrąci
Śród kryształowej przezroczy,
Woda się z lekka zamąci,
Rybka nad wodę podskoczy;
I jak skałka płaskim bokiem
Gdy z lekkich rąk chłopca pierzchnie,
Tak nasza rybka podskokiem
Mokre całuje powierzchnie.
Złotymi plamki nadobna,

Kraśne ma po bokach piórka,
Główka jak naparstek drobna,
Oczko drobne jak paciórka.
Wtem rybią łuskę odwinie,
Spójrzy dziewicy oczyma;
Z głowy jasny włos wypłynie,
Szyjka cieniuchna się wzdyma.
Na licach różana krasa,
Piersi jak jabłuszka mleczne,
Rybią ma płetwę do pasa,
Płynie pod chrusty nadrzeczne.
I dziecię bierze do ręki,
U łona białego tuli,
„Luli - woła - mój maleńki,
Luli, mój maleńki, luli”.
Gdy dziecię płakać przestało,
Zawiesza kosz na gałęzi
I znowu ściska swe ciało,
I główkę nadobną zwięzi.
Znowu ją łuski powleka,
Od boków wyskoczą skrzelki,
Plusła i tylko nad rzeką
Kipiące pękły bąbelki.
Tak co wieczora, co ranka,
Gdy sługa stanie w zakątku,
Wraz wypływa Świtezianka,
Żeby dać piersi dzieciątku.

Za cóż jednego wieczora
Nikt nie przychodzi na smugi?
Już zwykła przemija pora;
Nie widać z dziecięciem sługi.
Nie może on przyjść tą stroną,
Musi poczekać troszeczkę,
Bo właśnie teraz pan z żoną
Poszli przechadzką nad rzeczkę.
Wrócił się, czekał z daleka,
Za gęstym usiadłszy krzakiem;
Lecz próżno czeka i czeka,
Nikt nie powracał tym szlakiem.
Wstaje i dłoń w trąbkę zwinął,
I patrzył przez palców szparę,
Ale i dzień już przeminął,
I mroki padają szare.
Czekał długo po zachodzie,
A gdy noc gwiazdy zapala,
Zbliża się z lekka ku wodzie
I śledzi oczyma z dala.
Przebóg! cudy czy moc piekła!
Uderza go widok nowy.
Gdzie pierwej rzeczulka ciekła,
Tam suchy piasek i rowy.
Na brzegach porozrzucana
Wala się odzież bez ładu,
Ani pani, ani pana

Nie widać nigdzie ni śladu.
Tylko z zatoki połową
Sterczał wielki głazu kawał
I dziwną kształtu budową
Dwa ludzkie ciała udawał.
Zdumiewa się wierny sługa,
Rozpierzchłych myśli nie złowił;
Przeszła godzina i druga,
Nim wreszcie słówko przemówił.
„Krysiu, o Krysiu!” - zawołał:
Echo mu „Krysiu” odpowie,
Lecz próżno patrzy dokoła,
Nikt nie pokazał się w rowie.
Patrzy na rów i na głązy,
Otrze pot na licu zbladłem,
I kiwnie głową trzy razy,
Jakby chciał mówić: już zgadłem.
Dzieciątko na ręce bierze,
Śmieje się dzikim uśmiechem,
I odmawiając pacierze
Wraca do domu z pośpiechem.

POWRÓT TATY – BALLADA

„Pójdźcie, o dziatki, pójdźcie wszystkie razem

Za miasto, pod słupek na wzgórek,

Tam przed cudownym klękajcie obrazem,

Pobożnie zmówcie paciórki.

Tato nie wraca; ranki i wieczory

We łzach go czekam i trwodzę;

Rozlały rzeki, pełne zwierza bory

I pełno zbójców na drodze”.

Słyszając to dziatki biegały wszystkie razem,

Za miasto, pod słupek na wzgórek,

Tam przed cudownym klękają obrazem

I zaczynają paciórki.

Całują ziemię, potem: „W imię Ojca,

Syna i Ducha świętego,

Bądź pochwalona, przenaświętsza Trójca,

Teraz i czasu wszelkiego”.

Potem: Ojcze nasz i Zdrowaś, i Wierzę,

Dziesięcioro i koronki,

A kiedy całe zmówili pacierze,

Wyjmą książeczkę z kieszonki:

I litaniją do Najświętszej Matki

Starszy brat śpiewa, a z bratem

„Najświętsza Matko - przyśpiewują dziatki,

Zmiłuj się, zmiłuj nad tatą!”

Wtem słysząć tarkot, wozy jadą drogą

I wóz znajomy na przedzie;
Skoczyły dzieci i krzyczą jak mogą:
„Tato, ach, tato nasz jedzie!”
Obaczył kupiec, łyż radośne leje,
Z wozu na ziemię wylata;
„Ha, jak się macie, co się u was dzieje?
Czyście tęskniły do tata?
Mama czy zdrowa? ciotunia? domowi?
A ot rożynki w koszyku”.
Ten sobie mówi, a ten sobie mówi,
Pełno radości i krzyku.
„Ruszajcie - kupiec na sługi zawoła -
Ja z dziećmi pójdę ku miastu”.
Idzie... aż zbójcy obkoczą dokoła,
A zbójców było dwunastu.
Brody ich długie, kręcone wąsiska,
Wzrok dziki, suknia plugawa;
Noże za pasem, miecz u boku błyska,
W ręku ogromna buława.
Krzyknęły dziatki, do ojca przypadły,
Tulą się pod płaszcz na łonie;
Truchleją sługi, struchlał pan wybladły,
Drżące ku zbójcom wznosił dłonie.
„Ach, bierzcie wozy, ach, bierzcie dostatek,
Tylko puszczajcie nas zdrowo,
Nie róbcie małych sierotami dzieciak
I młodej małżonki wdową”.

Nie słucha zgraja, ten już wóz wyprzęga,
Zabiera konie, a drugi
„Pieniędzy!” krzyczy i buławą sięga,
Ów z mieczem wpada na sługi.
Wtem: „Stójcie, stójcie!” - krzyknie starszy zbójca
I spędza bandę precz z drogi,
A wypuściwszy i dzieci, i ojca,
„Idźcie, rzekł, dalej bez trwogi”.
Kupiec dziękuje, a zbójca odpowie:
„Nie dziękuj, wyznam ci szczerze,
Pierwszy bym pałkę strzaskał na twej głowie,
Gdyby nie dziatki pacierze.
Dziatki sprawiły, że uchodzisz cało,
Darzą cię życiem i zdrowiem;
Im więc podziękuj za to, co się stało,
A jak się stało, opowiem.
Z dawna już słysząc o przejeździe kupca,
I ja, i moje kamraty,
Tutaj za miastem, przy wzgórk u słupca
Zasiadaliśmy na czaty.
Dzisiaj nadchodzę, patrzę między chrusty,
Modlą się dziatki do Boga,
Słucham, z początku porwał mię śmiech pusty,
A potem litość i twoga.
Słucham, ojczyste przyszły na myśl strony,
Buława upadła z ręki;
Ach! ja mam żonę, i u mojej żony

Jest synek taki maleńki.
Kupcze! jedź w miasto, ja do lasu muszę;
Wy, dziatki, na ten pagórek
Biegajcie sobie, i za moją duszę
Zmówcie też czasem paciórki”.

KURHANEK MARYLI – ROMANS (Myśl ze śpiewu litewskiego)

CUDZY CZŁOWIEK

Tam u Niemnowej odnogi,
Tam u zielonej rozłogi,
Co to za piękny kurhanek?
Spodem uwieczon, jak w wianek,
W maliny, ciernie i głogi;
Boki ma strojne murawą,
Głowę ukwieconą w kwiaty,
A na niej czeremchy drzewo,
A od niej idą trzy drogi:
Jedna droga na prawo,
Druga droga do chaty,
Trzecia droga na lewo.
Ja tędy płynę z wiciną,
Pytam się ciebie, dziewczyno,
Co to za piękny kurhanek?

DZIEWCZYNA

W całej wsi pytaj się, bracie,
A cała wieś powie tobie:
Maryła żyła w tej chacie,
A teraz leży w tym grobie.
Na prawej stronie te śladki
Ubite nogą pastuszka;
To jest drożyna jej matki,
A stąd przychodzi jej družka.
Lecz oto błysnął poranek,
Przyjdą oni na kurhanek;
Ukryj się tu za stós łomu,
Sam ich posłuchasz niedoli,
Własne twe oczy zobaczą.
Patrz w prawo... idzie kochanek.
Patrz, matka idzie z domu.
Patrz w lewo, przyjaciółka.
Wszyscy idą powoli
I niosą ziółka,
I płaczą.

JAS

Maryło! o tej porze!
Jeszcześmy się nie widzieli,
Jeszcześmy się nie ścisnęli,
Maryło! zaszło zorze!
Tu czeka twój kochanek,

Czy ty przespałaś ranek,
Czy na mnie zagniewana?
Ach, Marylo kochana!
Gdzież się ty dotąd kryjesz?
Nie, nie przespałaś ranka,
Nie gniewasz się na Janka,
Lecz nie żyjesz, nie żyjesz!
Więzi cię ten kurbanek,
Nie ujrzysz już kochanka,
Nie ujrzy cię kochanek!
Dawniej, kiedy spać szedłem, tym słodziłem chwile,
Że skoro się obudzę, obaczę Maryłę.
I dawniej spałem mile!
Teraz tutaj spać będę od ludzi daleki,
Może ją we śnie ujrzę, gdy zamknę powieki;
Może zamknę na wieki!
Byłem ja gospodarny, gdy byłem szczęśliwy;
Chwalili mię sąsiedzi,
Chwalił mię ojciec siwy.
Teraz się ojciec biedzi,
A ja ni ludziom, ni Bogu!
Niech ziarno w polu przepadnie,
Niech ginie siano ze stogu,
Niech sąsiad kopy rozkradnie,
Niech trzodę wyduszą wilki!
Nie masz, nie masz Marylki!
Daje mi ojciec chaty,

Daje mi sprzęt bogaty,
Bym wziął w dół gospodynię,
Namawiali mię swaty,
Nie masz, nie masz Maryli!
Swaty nie namówili.
Nie mogę - nie - nie mogę;
Wiem, ojczu, co uczynię:
Pójdę w daleką drogę,
Więcej mię nie znajdziecie,
Choćbyście i szukali,
Nie będę już na świecie,
Przystanę do Moskali,
Żeby mię wraz zabili.
Nie masz, nie masz Maryli!

MATKA

Czemuż nie wstałam z rana?
Już w polu pełno ludzi.
Nie masz cię, nie masz, kochana
Marylo! któż mię obudzi!
Płakałam przez noc całą,
Zasnęłam, kiedy dniało.
Mój Szymon gdzieś już w polu,
Wyprzedził on świtania,
Nie budził mię, mojego litując się bolu,
Poszedł z kosą bez śniadania;
Kos ty dzień cały, kos sobie,

Ja tutaj leżę na grobie.
Czegoż mam iść do domu?
Kto nas na obiad zawoła?
Kto z nami siądzie u stoła?
Nie masz, ach, nie masz komu!
Pókiśmy mieli ciebie,
W domu było jak w niebie.
Z całej wsi chłopcy, dziewczki,
Najweselsze zażynki,
Najhuczniejsze dosiewki.
Nie masz cię! w domu pustynie!
Każdy, kto idzie, minie.
Zawiasy rdzawieją w sieni,
Mchem się dziedziniec zieleni;
Bóg nas opuścił, ludzie opuścili,
Nie masz, nie masz Maryli!

PRZYJACIÓŁKA

Tutaj, bywało, z ranku
Nad wodą sobie stoim,
Ja o twoim kochanku,
Ty mnie mówisz o moim.
Już więcej z sobą nie będziem mówili.
Nie masz, nie masz Maryli!
Któż mi zwierzy się szczerze,
Komuż się ja powierzę?
Ach, gdy z tobą, kochanie,

Smutku i szczęścia nie dzielę,
Smutek smutkiem zostanie,
Weselem nie jest wesele.

CUDZY CZŁOWIEK

Słyszysz to cudzy człowiek,
Wzdycha i łzy mu płyną.
Westchnął, otarł łzy z powiek
I dalej poszedł z wiciną.

DO PRZYJACIÓŁ

Posyłając im balladę „To lubię”
Kowno, d. 27 grudnia

Bije raz, dwa, trzy... już północna pora,
Głuche wokoło zacisze,
Wiatr tylko szumi po murach klasztoru
I psów szczekanie gdzieś słyszę.
Świeca w lichtarzu dopała się na dnie,
Raz w głębi tłumi ogniska,
Znowu się wzmoże i znowu opadnie,
Błyska, zagasa i błyska.
Straszno! - nie była straszną ta godzina,
Gdy były nieba łaskawsze:
Ileż mi słodkich chwilek przypomina!

Precz... to już znikło na zawsze.
Teraz ja szczęścia szukam, ot w tej księdze,
Księga znudziła, porzucam;
Znowu ku lubym przedmiotom myśl pędzę,
To marzę, to się ocucam.
Czasem, gdy słodkie złudzi zachwycenie,
Kochankę widzę lub braci;
Zrywam się, patrzę, aż tylko po ścienie
Biega cień własnej postaci.
Ot, lepiej pióro wezmę i wśród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl płacze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiem, czy skończę.
Może też pamięć o minionej wiosnie
Zimowy wierszyk umili;
Chcę coś okropnie, coś pisać miłośnie,
O strachach i o Maryli.
Kto pragnie pędzłem swe rozślawić imię,
Niech jej maluje portrety,
Wieszcz w nieśmiertelnym niech opiewa rymie
Serca, rozumu zalety.
Mnie choć to wszystko w umyśle przytomne,
Pociechy szukam, nie sławy;
Lepiej wam powiem, jeżeli przypomnę,
Jakie z nią miałem zabawy.
Maryla słodkie miłości wyrazy
Dzieliła skąpo w rachubie;

Choć jej kto kocham mówił po sto razy,
Nie rzekła nawet i lubię.
Za to więc w Rucie pod północną chwilę,
Kiedy się wszyscy spać kładą,
Ja na dobranoc żegnając Maryłę,
Taką straszylem balladą:

TO LUBIĘ - BALLADA

Spójrz, Maryło, gdzie się kończą gaje,
W prawo łoż gęsty zarostek,
W lewo się piękna dolina podaje,
Przodem rzeczulka i mostek.
Tuż stara cerkiew, w niej puszczyk i sowy,
Obok dzwonnicy zrąb zgniły,
A za dzwonnica chrośniak malinowy,
A w tym chrośniaku mogiły.
Czy tam bies siedział, czy dusza zaklęta,
Że o północnej godzinie
Nikt, jak najstarszy człowiek zapamięta,
Miejsc tych bez trwogi nie minie.
Bo skoro północ nawlecze zasłony,
Cerkiew się z trzaskiem odmyka,
W pustej zrabnicy dzwonią same dzwony,
W chrustach coś huczy i ksyka.
Czasami płomyk okaże się blady,
Czasem grom trzaska po gromie,

Same się z mogił ruszają pokłady
I larwy stają widomie.
Raz trup po drodze bez głowy się toczy,
To znowu głowa bez ciała;
Roztwiera gębę i wytrzeszcza oczy,
W gębie i w oczach żar pała,
Albo wilk bieży; pragniesz go odegnąć,
Aż orlim skrzydłem wilk macha,
Dość „Zgiń, przepadnij” wyrzec i przeżegnać,
Wilk zniknie wrzeszcząc:” cha cha cha”.
Każdy podróżny oglądał te zgrozy
I każdy musiał kląć drogę;
Ten złamał dyszel, ten wywrócił wozy,
Innemu zwichnął koń nogę.
Ja, chociaż, pomnę, nieraz Andrzej stary
Zaklinał, nieraz przestrzegał,
Śmiałem się z diabłów, nie wierzyłem w czary,
Tamtędym jeździł i biegał.
Raz, gdy do Ruty jadę w czas noclegu,
Na moście z końmi wóz staje,
Próżno woźnica przynagla do biegu,
„Hej!” - krzyczy, biczem zadaje.
Stoją, a potem skoczą z całej mocy,
Dyszel przy samej pękł szrubie;
Zostać na polu samemu i w nocy,
„To lubię - rzekłem - to lubię!”
Ledwie dokończył, aż straszna martwica

Wypływa z bliskich wód toni;
Białe jej szaty, jak śnieg białe lica,
Ognisty wieniec na skroni.
Chciałem uciekać, padłem załęczony,
Włos dębem stanął na głowie;
Krzyknę; „Niech będzie Chrystus pochwalony!”
„Na wieki wieków” - odpowie.
„Ktokolwiek jesteś, poczciwy człowieku,
Coś mię zachował od męki,
Dożyj ty szczęścia i późnego wieku,
I pokój tobie, i dzięki.
Widzisz przed sobą obraz grzesznej duszy,
Wkrótce się niebem pochlubię;
Boś ty czyscowej zbawił mię katuszy
Tym jednym słówkiem; To lubię.
Dopóki gwiazdy zejda i dopóki
We wsi kur pierwszy zapieje,
Opowiem tobie, a ty dla nauki
Opowiedz innym me dzieje.
Onego czasu żyłam ja na świecie,
Marylą zwana przed laty;
Ojciec mój, pierwszy urzędnik w powiecie,
Możny, poczciwy, bogaty.
Za życia pragnął sprawić mi wesele,
A żem dostatnia i młoda,
Zbiegło się zewsząd zalotników wiele,
Posag wabił i uroda.

Mnóstwo ich marnej pochlebiało dumie,
I to mi było do smaku,
Że kiedy w licznym kłaniano się tłumie,
Tłumem gardziłam bez braku.
Przybył i Józio; dwudziestą miał wiosnę,
Młody, cnotliwy, nieśmiały;
Obce dla niego wyrazy miłosne,
Choć czuł miłosne zapały.
„Lecz próżno nędzny w oczach prawie znika
Próżno i dzień, i noc płacze;
W boleściach jego dla mnie radość dzika,
Śmiech obudzały rozpacz.
„Ja pójdę!” mówił ze łzami. „Idź sobie!”
Poszedł i umarł z miłości;
Tu nad rzeczulką, w tym zielonym grobie
Złożone jego są kości.
„Odtąd mi życie stało się nielube,
Późne uczułam wyrzuty;
Lecz ani sposób wynagrodzić zgubę,
Ani czas został pokuty.
Raz, gdy się w północ z rodzicami bawię,
Wzmaga się hałas, szum, świsty,
Przyleciał Józio w straszliwej postawie,
Jak potępieniec ognisty.
Porwał, udusił gęszcżą dymnych kłębow,
W czyscowe rzucił potoki,
Gdzie pośród jęku i zgrzytania zębów

Takie słyszałam wyroki:
„Wiedziałaś, że się spodobało Panu
Z męża ród tworzyć niewieści,
Na osłodzenie mężom złego stanu,
Na rozkosz, nie na boleści.
Ty jakbyś w piersiach miała serce z głazu,
Ani cię jęki ubodły.
Nikt nie uprosił słodkiego wyrazu
Przez łzy, cierpienia i modły.
Za taką srogość, długie, długie lata
Dręcz się w czyscowej zagubie,
Póki mąż jaki z tamecznego świata
Nie powie na cię choć: lubię.
Prosił i Józio niegdyś o to słowo,
Gorzkie łzy lał nieszczęśliwy;
Prośże ty teraz; nie łżą, nie namową,
Ale przez strachy i dziwy”.
Rzekł, mnie natychmiast porwały złe duchy.
Odtąd już setny rok minie,
W dzień męczą, a noc zdejmują łańcuchy,
Rzucam ogniste głąbinie;
I w cerkwi albo na Józia mogile,
Niebu i ziemi obrzydła,
Muszę podróżnych trwożyć w nocne chwile,
Różne udając straszidła.
Idących w błota zawiodę lub w gaje,
Jadącym konia uskubię;

A każdy naklnie, na fuka, na łaje,
Tyś pierwszy wyrzekł: to lubię.
Za to ci spadnie wyroków zasłona,
Przyszłość spod ciemnych wskażę chmur:
Ach! i ty poznasz Marylę; lecz ona...”
Wtem na nieszczęście zapiał kur.
Skinęła tylko, widać radość z oczek,
Mieni się w parę cieniuchną,
Ginie, jak ginie bladawy obloczek,
Kiedy ze firy nań dmuchną.
Patrzę, aż cały wóz stoi na łące,
Siadam, powoli strach mija;
Proszę za dusze w czyscu bolejące
Zmówić trzy Zdrowaś Maryja.

RĘKAWICZKA – POWIASTKA (Z Szyllera)

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada.
Przy nim książęta i panowie Rada,
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.
Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzeczadze; ogromne lwisko
Zwolna się toczy,

Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
Wokoło,
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrzęsł na grzywie,
I wyciągnął cieleska brzemię,
I obalił się na ziemię.
Król skinął znowu,
Znowu przemknie się krata,
Szybkimi skoki, chciwy połowu,
Tygrys wylata.
Spoziera z dala
I kłami błyska,
Język wywała,
Ogonem ciska
I lwa dokoła obiega.
Topiąc wzrok jaszczurczy
Wyje i burczy;
Burząc na stronie przylega.
Król skinął znowu,
Znowu podwój otwarty,
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła,
Już się tygrys z nimi drapie,
Już obudwu trzyma w łapie;

Wtem lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał - i znowu cisze -
A dzicz z krwawymi pazury
Obiega... za mordem dysze.
Dysząc na stronie przylega.
Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnej Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty,
Na środek placu.
Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
„Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułymi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda”.
Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze.
Dziwią się panie, dziwią się rycerze.
A on w zwycięskiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam od radośnej witany kochanki,
Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił,
„Pani, twych dzięków nie trzeba mi wcale”.
To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił.

PANI TWARDOWSKA - BALLADA

Jedzą, piją, lulki palą,
Tańce, hulanka, swawola;
Ledwie karczmy nie rozwałą,
Cha cha, chi chi, hejza, hoła!
Twardowski siadł w końcu stoła.
Podparł się w boki jak basza;
„Hulaj dusza! hulaj!” - woła,
Śmiesz, tumani, przestrasza.
Żołnierzowi, co grał zucha,
Wszystkich łaje i potrąca,
Świsnął szablą koło ucha,
Już z żołnierza masz zająca.
Na patrona z trybunału,
Co milczkiem wypróżniał rondel,
Zadzwonił kieską pomału,
Z patrona robi się kondel.
Szewcu w nos wyciął trzy szczutki,
Do łba przymknął trzy rureczki,
Cmoknął, cmok, i gdańskiej wódki
Wytoczył ze łba pół beczki.
Wtem gdy wódkę pił z kielicha.
Kielich zaświstał, zazgrzytał;
Patrzy na dno: Co u licha?
Po coś tu, kumie, zawitał?

Diablik to był w wódce na dnie,
Istny Niemiec, sztuczka kusa;
Skłonił się gościom układnie,
Zdjął kapelusz i dał susa.
Z kielicha aż na podłogę
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos jak haczyk, kurzą nogę
I krogulcze ma paznokcie.
„A! Twardowski; witam, bracie!”
To mówiąc bieży obcesem:
„Cóż to, czyliż mię nie znacie?
Jestem Mefistofeilesem.
Wszak ze mnąś na Łysej Górze
Robił o duszę zapisy;
Cyrograf na byczej skórze
Podpisałeś ty, i bisy
Miały słuchać twego rymu;
Ty, jak dwa lata przebiegą,
Miałeś pojechać do Rzymu,
By cię tam porwać jak swego.
Już i siedem lat uciekło,
Cyrograf nadal nie służy;
Ty, czarami dręcząc piekło,
Ani myślisz o podróży.
Ale zemsta, choć leniwa,
Nagnała cię w nasze sieci;
Ta karczma Rzym się nazywa,

Kładę areszt na waszeci.”
Twardowski ku drzwióm się kwapił
Na takie dictum acerbum,
Diabeł za kuntusz ułapił:
„A gdzie jest nobile verbum?”
Co tu począć? kusa rada,
Przyjdzie już nałożyć głowę.
Twardowski na concept wpada
I zadaje trudność nową.
„Patrz w kontrakt, Mefisto filu,
Tam warunki takie stoją:
Po latach tylu a tylu,
Gdy przyjdiesz brać duszę moją,
Będę miał prawo trzy razy
Zaprząć ciebie do roboty?
A ty najtwardsze rozkazy
Musisz spełnić co do joty.
Patrz, oto jest karczmy godło,
Koń malowany na płótnie;
Ja chcę mu wskoczyć na siodło,
A koń niech z kopyta utnie.
Skręć mi przy tym biczyk z piasku,
Żebym miał czym konia chłostać,
I wymuruj gmach w tym lasku,
Bym miał gdzie na popas zostać.
Gmach będzie z ziarenek orzecha,
Wysoki pod szczyt Krępaku,

Z bród żydowskich ma być strzecha,
Pobita nasieniem z maku.
Patrz, oto na miarę świeczek,
Cał gruby, długi trzy cale,
W każde z makowych ziareczek
Wbij mi takie. trzy bratna!”.
Mefistofil duchem skoczy,
Konia czyści, karmi, poi,
Potem bicz z piasku utoczy
I już w gotowości stoi.
Twardowski dosiadł biegusa,
Próbuje podskoków, zwrotów,
Stępa, galopuje, kłusa,
Patrzy, aż i gmach już gotów.
No! wygrałeś, panie bisie;
Lecz druga rzecz nic skończona,
Trzeba skąpać się w tej misie,
A to jest woda święcona.
Diabeł kurczy się i krztusi,
Aż zimny pot na nim bije;
Lecz pan każe, sługa musi,
Skapał się biedak po szyję.
Wyleciał potem jak z procy,
Otrząsł się, dbrum! parsknął raźnie.
„Teraz jużes w naszej mocy,
Najgorętszą odbyl łaźnię.”
„Jeszcze jedno, będzie kwita,

Zaraz pęknie moc czartowska;
Patrzaj, oto jest kobieta,
Moja żoneczka Twardowska.
Ja na rok u Belzebuba
Przyjmę za ciebie mieszkanie,
Niech przez ten rok moja luba
Z tobą jak z mężem zostanie.
Przysięż jej miłość, szacunek
I posłuszeństwo bez granic;
Złamiesz choć jeden warunek.
Już cała ugoda za nic.”
Diabeł do niego pół ucha,
Pół oka zwrócił do samki,
Niby patrzy, niby słucha,
Tymczasem już blisko klamki.
Gdy mu Twardowski dokucza,
Od drzwi, od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha, tak czmycha.

LILIJE – BALLADA (z pieśni gminnej)

Zbrodnia to niesłychana,
Pani zabija pana;
Zabiwszy grzebie w gaju,
Na łączce przy ruczaju,
Grób liliją zasiewa,

Zasiewając tak śpiewa:
„Rośnij kwiecie wysoko,
Jak pan leży głęboko;
Jak pan leży głęboko,
Tak ty rośnij wysoko.”
Potem cała skrwawiona,
Męża zbrojczyny żona,
Bieży przez łąki, przez knieje,
I górą, i dołem, i górą;
Zmrok pada, wietrzyk wieje;
Ciemno, wietrzno, ponuro.
Wrona gdzieś gdzie kracze
I puchają puchacze.
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,
Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk.
„Kto tam?” - spadła zaporą,
Wychodzi starzec, świeci;
Pani na kształt upiora
Z krzykiem do chatki leci.
„Ha! ha!” zsiniały usta,
Oczy przewraca w słupek,
Drżąca, zbladła jak chusta;
„Ha! mąż, ha! trup!”
„- Niewiasto, Pan Bóg z tobą,
Co ciebie tutaj niesie,

Wieczorną słotną dobą,
Co robisz sama w lesie?”
„- Tu za lasem, za stawem,
Błyszczą mych zamków ściany.
Mąż z królem Bolesławem
Poszedł na Kijowiany.
Lato za latem bieży,
Nie masz go z bojowiska;
Ja młoda wśród młodzieży,
A droga cnoty śliska!
Nie dochowałam wiary,
Ach! biada mojej głowie!
Król srogie głosi kary;
Powrócili mężowie.
„Ha! ha! mąż się nie dowie!
Oto krew! oto nóż!
Po nim już, po nim już!
Starcze, wyznałam szczerze.
Ty głoś świętymi usty,
Jakie mówić: pacierze,
Gdzie mam iść na odpusty.
Ach, pójdę aż do piekła,
Zniosę bicze, pochodnie,
Byleby moją zbrodnię
Wieczysta noc powlekła.”
„- Niewiasto, - rzecze stary -
Więc ci nie żal rozboju,

Ale tylko strach kary?
Idźże sobie w pokoju,
Rzuć bojaźń, rozjaśń lica,
Wieczna twa tajemnica.
Bo takie sądy boże,
Iż co ty zrobisz skrycie,
Mąż tylko wydać może;
A mąż twój stracił życie.”
Pani z wyroku rada,
Jak wpadła, tak wypada;
Bieży nocą do domu
Nic nie mówiąc nikomu.
Stoją dzieci przed bramą,
„Mamo, - wołają - Mamo!
A gdzie został nasz tato?”
- „Nieboszczyk? co? wasz tato?” -
Nie wie, co mówić na to.
- „Został w lesie za dworem,
Powróci dziś wieczorem.”
Czekają wieczór dzieci;
Czekają drugi, trzeci,
Czekają tydzień cały;
Nareszcie zapomniały.
Pani zapomnieć trudno,
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu,

Nigdy snu na źrenicy!
Bo często w nocnej porze
Coś stuka się na dworze,
Coś chodzi po świetlicy.
„Dzieci - woła - to ja to,
To ja, dzieci, wasz tato!”
Noc przeszła, zasnąć trudno.
Nie wygnać z myśli grzechu.
Zawsze na sercu nudno,
Nigdy na ustach śmiechu!
- „Idź, Hanko, przez dziedziniec.
Słyszę tętent na moście,
I kurzy się gościniec;
Czy nie jadą tu goście?
Idź na gościniec i w las,
Czy kto nie jedzie do nas?”
Jadą, jadą w tę stronę,
Tuman na drodze wielki,
Rżą, rżą koniki wronie,
Ostre błyszczą szabelki.
Jadą, jadą panowie,
Nieboszczyka bratowie!
- „A witajże, czy zdrowa?
Witajże nam, bratowa.
Gdzie brat?” - „Nieboszczyk brat,
Już pożegnał ten świat.”
- „Kiedy?” - „Dawno, rok minął,

Umarł... na wojnie zginął.”

- „To kłamstwo, bądź spokojna!

Już skończyła się wojna;

Brat zdrowy i ochoczy,

Ujrzysz go na twe oczy.”

Pani ze strachu zbladła,

Zemdlała i upadła,

Oczy przewraca w słup,

Z trwożą dokoła rzuca.

- „Gdzie on? gdzie mąż? gdzie trup?”

Powoli się ocuca;

Mdlała niby z radości

I pytała u gości:

„Gdzie mąż, gdzie me kochanie,

Kiedy przede mną stanie?”

- „Powracał razem z nami,

Lecz przodem chciał pośpieszyć,

Nas przyjąć z rycerzami

I twoje łzy pocieszyć.

Dziś, jutro pewnie będzie,

Pewnie kędyś w obłędzie

Ubite minął szlaki.

Zaczekajmy dzień jaki,

Poszlemy szukać wszędzie,

Dziś, jutro pewnie będzie.”

Posłali wszędzie sługi,

Czekali dzień i drugi,

Gdy nic nie doczekali,
Z płaczem chcą jechać dalej.
Zachodzi drogę pani:
- „Bracia moi kochani,
Jesień zła do podróży,
Wiatry, słoty i deszcze.
Wszak czekaliście dłużej,
Czekajcie trochę jeszcze.”
Czekają. Przeszła zima,
Brata nie ma i nie ma.
Czekają; myślą sobie:
Może powróci z wiosną?
A on już leży w grobie,
A nad nim kwiatki rosną,
A rosną tak wysoko,
Jak on leży głęboko.
I wiosnę przeczekali,
I już nie jadą dalej.
Do smaku im gospoda,
Bo gospodyni młoda;
Że chcą jechać, udają,
A tymczasem czekają;
Czekają aż do lata,
Zapominają brata.
Do smaku im gospoda
I gospodyni młoda.
Jak dwaj u niej gościli,

Tak ją dwaj polubili.
Obu nadzieja łączy,
Obadwaj zjęci trwogą,
Życ bez niej żaden nie chce,
Życ z nią obaj nie mogą.
Wreszcie na jedno zdani,
Idą razem do pani.
- „Słuchaj, pani bratowo,
Przyjm dobrze nasze słowo.
My tu próżno siedzimy,
Brata nie zobaczymy.
Ty jeszcze jesteś młoda,
Młodości twojej szkoda.
Nie wiąż dla siebie świata,
Wybierz brata za brata”.
To rzekli i stanęli,
Gniew ich i zazdrość piecze,
Ten, to ów okiem strzeli,
Ten, to ów słówko rzecze;
Usta sine przycięli,
W ręku ściskają miecze.
Pani ich widzi w gniewie,
Co mówić, sama nie wie.
Prosi o chwilkę czasu,
Bieży zaraz do lasu.
Bieży w dół do strumyka,
Gdzie stary rośnie buk,

Do chatki pustelnika,
Stuk stuk, stuk stuk!
Całą mu rzecz wyklada,
Pyta się, co za rada?
- „Ach, jak pogodzić braci?
Chcą mojej ręki oba?
Ten i ten się podoba:
Lecz kto weźmie? kto straci?
Ja mam małeńkie dziatki,
I wioski, i dostatki,
Dostatek się zmitręża,
Gdy zostałam bez męża.
Lecz, ach! nie dla mnie szczęście!
Nie dla mnie już zamęcie!
Boża nade mną kara,
Ściga mnie nocna mara,
Zaledwie przymknę oczy,
Traf, traf, kłamka odskoczy;
Budzę się, widzę, słyszę,
Jak idzie i jak dysze,
Jak dysze i jak tupa,
Ach, widzę, słyszę trupa!
Skrzyp, skrzyp, i już nad łóżem
Skrwawionym sięga nożem,
I iskry z gęby sypie,
I ciągnie mię, i szczypie.
Ach, dosyć, dosyć strachu,

Nie siedzieć mnie w tym gmachu,
Nie dla mnie świat i szczęście,
Nie dla mnie już zameście!”
„Córko, - rzecze jej stary -
Nie masz zbrodni bez kary.
Lecz jeśli szczerą skrucha,
Zbrodniarzów Pan Bóg słucha.
Znam ja tajnie wyroku,
Miłą ci rzecz obwieszczę;
Choć mąż zginął od roku,
Ja go wskrzeszę dziś jeszcze.”
- „Co, co? jak, jak? mój ojciec!
Nie czas już, ach, nie czas!
To żelazo zaboje
Na wieki dzieli nas!
Ach, znam, że warta kary,
I zniosę wszelkie kary,
Byle się pozbyć mary.
Zrzekę się mego zboru
I pójdę do klasztoru,
I pójdę w ciemny las.
Nie, nie wskrzeszaj, mój ojciec!
Nie czas już, ach, nie czas,
To żelazo zaboje
Na wieki dzieli nas!”
Starzec westchnął głęboko
I łzami zalał oko,

Oblicze skrył w zasłonie,
Drżące załamał dłonie.
- „Idź za męża, póki pora,
Nie lękaj się upiora.
Martwy się nie ocuci,
Twarda wieczności brama;
I mąż twój nie powróci,
Chyba zawołasz sama.”
- „Lecz jak pogodzić braci?
Kto weźmie, a kto straci?” -
„Najlepsza będzie droga
Zdać się na los i Boga.
Niechajże z ranną rosą
Pójdą i kwiecie zniosą.
Niech każdy weźmie kwiecie
I wianek tobie splecie,
I niechaj doda znaki,
Żeby poznać, czyj jaki,
I pójdzie w kościół boży,
I na ołtarzu złoży.
Czyj pierwszy weźmiesz wianek,
Ten mąż twój, ten kochanek.”
Pani z przestrogi rada,
Już do małżeństwa skora,
Nie boi się upiora;
Bo w myśli swej układa
Nigdy w żadnej potrzebie

Nie wołać go do siebie.
I z tych układów rada,
Jak wpadła, tak wypada.
Bieży prosto do domu
Nic nie mówiąc nikomu.
Bieży przez łąki, przez gaje,
I bieży. i staje,
I staje, i myśli, i słucha:
Zda się, że ją ktoś goni
I że coś szepce do niej,
Wokoło ciemność głucha;
- „To ja, twój mąż, twój mąż!”
I staje, i myśli, i słucha,
Słucha, zrywa się, bieży,
Włos się na głowie jeży,
W tył obejrzyć się lęka,
Coś wciąż po krzakach stęka,
Echo powtarza wciąż:
„To ja, twój mąż, twój mąż!”
Lecz zbliża się niedziela.
Zbliża się czas wesela.
Zaledwie słońce wschodzi,
Wybiegają dwaj młodzi.
Pani, wśród dziewic grona
Do ślubu prowadzona,
Wystąpi wśród kościoła
I bierze pierwszy wianek,

Obnosi go dokoła;
„Oto w wieńcu lilije,
Ach, czyjeż to są, czyje?
Kto mój mąż, kto kochanek?”
Wybiega starszy brat,
Radość na licach płonie,
Skacze i klaszcze w dłonie:
„Tyś moja. mój to kwiat!
Między liliji kręgi
Uplotłem wstążek zwój,
To znak, to moje wstęgi!
To mój, to mój, to mój!
- „Kłamstwo! - drugi zawoła -
Wyjdźcie tylko z kościoła,
Miejsce widzieć możecie,
Kędy rwałem to kwiecie.
Rwałem na łączce w gaju,
Na grobie przy ruczaju,
Okazę grób i zdrój,
To mój, to mój, to mój!”
Kłóca się źli młodzieńce;
Ten mówi, ten zaprzecza;
Dobyli z pochew miecza;
Wszczyna się srogi bój,
Szarpia do siebie wieńce:
„To mój, to mój, to mój!”
Wtem drzwi kościoła trzasły,

Wiatr zawiał, świece zgasły,
Wchodzi osoba w bieli.
Znany chód, znana zbroja,
Staje, wszyscy zadrżeli,
Staje, patrzy ukosem,
Podziemnym woła głosem:
„Mój wieniec i ty moja!
Kwiat na mym rwany grobie,
Mnie, księżę, stulą wiąz;
Zła żono, biada tobie!
To ja. twój mąż, twój mąż!
Źli bracia, biada obu!
Z mego rwaliście grobu,
Zawieście krwawy bój.
To ja, twój mąż, wasz brat,
Wy moi, wieniec mój,
Dalej na tamten świat!”
Wstrzęsła się cerkwi posada,
Z zrębu wysuwa się zrąb,
Skleń trzeszczy, głąb zapada,
Cerkiew zapada w głąb.
Ziemia ją z wierzchu kryje,
Na niej rosną lilije,
A rosną tak wysoko,
Jak pan leżał głęboko.

TUKAJ ALBO PRÓBY PRZYJAŹNI - ballada we czterech częściach

I

"Ja umieram. - Ja nie płaczę,
I wy chcejcie ulżyć sobie;
Prędzej, później legniem w grobie.
Nie wrócą na świat rozpaczę.
Byłem panem mnogich włości,
Sławny potęgą i zbiorem;
Zamki me stały otworem
Dla przyjaciół i dla gości.
O potęgo! o człowieku!
Wielkie zamki, wielkie imię,
Wielkie nic! wielkość, czyzy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Gdy za mądrości widziadłem
Goniąc zbiegam kraje cudze,
Gdy wzrok nad księgami trudzę,
Skarbnice nauk posiadałem.
O nauki! o człowieku!
Wielka mądrość, wielkie imię,
Wielkie nic! rozum, czyzy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Strzegłem ustaw świętej wiary
W duchu i serca prostocie;
Hojnie nagradzałem cnotę,
Kościołom niosłem ofiary!

O pobożności! człowieku!
Święta wiaro, święte imię,
Święte nic! cnoto, czczy dymie!
Ja umieram w kwiecie wieku!
Twórco, jakże igrasz srodze!
Kiedy mi dasz wiek niedługi,
Cóż, że mi dasz wierne sługi?
Czymże za wierność nagrodzę?
Dasz kochankę kochankowi,
Śmierć truje ślubów słodycze.
I tylu przyjaciół liczę!
Bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi!"
Tak na domowników ręku
Tukaj, pośród skarg i jęku,
Pożegnawszy świat na wieki,
Gasnące zamknął powieki.
Wtem grom łamie szczyty dachu,
Zadrżały zamkowe ściany,
Jakowys starzec nieznany
Wlatuje na środek gmachu,
Siwy włos okrył mu skronie,
Twarz marszczkami rozorana,
Broda długa za kolana,
Na kosturze wsparte dłonie,
"Tukaju!" - porwał z pościeli
I wraz za sobą iść każe;
Już wierzchnie sale minęli

Minęli wały i strażę.
Idą; ciemno, deszczyk kropi;
A srebrzysta twarz miesiąca
To grubawe mgły roztrąca,
To się znowu we mgle topi.
Idą ponad trzęskie kępy,
Mijają bagna, głębinie,
Hnilicy ciemnej ostępy,
Kołdycze wa nurty sinie.
Gdzie puszcza zarosła wkoło.
Spodem czarna, z wierzchu płowa,
Żwirami nasute czoło
wynosi góra Żarnowa.
Tam szli; starzec kląkł na grobie,
Rozwarł usta, okiem błysnął,
Podniósł w górę ręce obie,
Trzykroć krzyknął, trzykroć świsnął.
"Tukaju, patrz, oto ścieżka!
Za ścieżką chatka na bagnie,
W chatce mędrzec Polel mieszka.
Mędrzec mędrca wspomóc pragnie.
Znana twa nauka, cnota;
Znam, że Bóg, węzły lubemi
Przywiązawszy cię do ziemi,
Długiego nie da żywota.
Ale rzucaj przestrach płony,
Mych sposobów uznaj dzielność;

Żyj dla sług, przyjaciół, żony,
Lata, wieki, nieśmiertelność.
Ja pierwszy ziemskiemu oku
Śmiem do niej pokazać drogę;
Lecz podług ustaw wyroku
Dwóm tylko pokazać mogę.
Wybierz drugiego człowieka,
Człowieka doznanej wiary,
Któremu byś w każdej probie
Tak zaufał, jak sam sobie;
Trafisz, - nieśmiertelność czeka!
Chybisz, - śmierć i wieczne kary!"
"Starcze! twe zjawienia wieszczce
Ciemna zasłona powleka.
Powiedz.." - "Powiedam ci jeszcze,
Wybierz drugiego człowieka.
Radź się twej głowy i serca.
Idzie o ciało i duszę!
Wierny albo przენiewierca,
Nieśmiertelność lub katusze!...
Czy mógłbyś zwierzyć się słudze?..."
Tukaj nic nie odpowiada,
Bo któż zgadnie myśli cudze?
Bo zbyt częsta w sługach zdrada.
"Może kochance lub żonie?"
"Tak..." - wtem uciął, patrzy smutnie;
"Tak" - rzecze i znowu utnie.

Myśli, sam się z sobą biedzi,
"Tak jest, kochance... tak, żonie!"
I wierzy, i strach nań pada,
I wątpi, i wstydem płonie;
Myśli, sam się z sobą biedzi,
Umyślił już w odpowiedzi,
Już... i nic nie odpowiada.
"Umrzyj więc! Ty śmiałeś żądać?
Daj pokój żądaniom dzikim,
Ty nie masz ufności w nikim,
Wartoż dłużej świat oglądać?"
On myśli. - "Nikogoż z wieła?
Sługi; żony, przyjaciela?" -
On myśli. - Tu w mgnieniu oka
Czerni się niebios sklepienie,
Słysząc grzmienie, ziemi drżenie,
Kipią bagna, lasy gorą,
Niknie w płomieniach opoka
I doliny i jezioro.
Śród gromów, świstu i szczęku,
Czy to zły duch, czy moc boża,
Tukaj znalazł się śród łoża,
Na swych domowników ręku.
Głos tylko zagrzmał z daleka:
"Nie masz drugiego człowieka,
Któremu byś w każdej probie
Tak zaufał, jak sam sobie!"

II

"Ja mam, ja mam przyjaciela!" -

Konający Tukaj woła;

Wraz uchodzi błądź z czoła,

Iskrą zdrowia oko strzela,

Tukaj wydarty mogile

Wstaje, dziwi się doktory;

Wstaje, chodzi o swej sile,

Jakby nigdy nie był chory.

A wtem na poduszce z boku

Ujrzy z wolej skóry karty,

Gdzie tajemnice wyroku

Przekłete spisały czarty.

Tukaj z ciekawością chwyta,

Siada, podparł się i czyta:

"Kiedy miesiąc na młodziu,

Idź za górę do gaiku,

Znajdziesz kamień, spod kamienia

Białego urwij korzenia.

Kiedy będziesz bliski śmierci,

Każ ciało posiec na ćwierci,

W wodzie zgotować korzonki,

Pocięte namaścić członki,

Znowu się duch z ciałem zrośnie,

W młodocianej wstaniesz wiosnie,

I możesz skutkiem tych leków

Umierać, wstawać wiek wieków".

Dalej tam były przestrogi,

Jak siekać głowę, jak nogi,

W jakiej wodzie smażyć trunek,

Po jakiej brać zioła szczypcie,

Ale na końcu w post-skrypcie

Taki dodano warunek:

"Jeśli użyty ktoś drugi

Do namaszczałnej posługi,

Zwiedzion przez nasze fortele,

Innemu pokaże ziele

Lub w oznaczonej godzinie

Twego ciała nie namaści,

Wtenczas skutek zioła zginie,

Wtenczas piekło czeka waści.

Jeśli na to się ośmielisz,

Dla znaku, że zaszła zgoda.

Nasz poseł Me fisto felisz

Do wymiany traktat poda.

Ostrzeżliśmy o fortelach,

Strzeż się; potem próżny kweres.

Dan w Erebie, w szabas rano,

Własną ręką podpisano;

Tak ma stać się: Luciferes.

A za zgodność: Hadramelach".

Tukaj trochę się zagniewał,

Warunku się nie spodziewał;

Brodę na rękę podpięra,
Potarł czoło, skrzywił nosa,
Na kontrakt spójrzył z ukosa,
Tabaczkę dwa razy zażył,
To na ziemię spuszcza oczy,
To po stołowaniu toczy.
Wziął pergamin, w rękę zważył;
Znowu nań zezem poziera,
Znowu czytał i odczytał,
Znowu zważył, znowu zmierzył,
Kulakiem o stół uderzył,
Westchnął, mruczał, zębem zgrzytał,
Ręce nad czoło zakłada,
Skoczył raptem i w zapędzie
Machnął ręką: "Niech tak będzie!"
Znowu umilkł, znowu siada;
Znowu myśli, znowu wstaje;
Znowu chodzi, znowu siada.
Niech go za to nikt nie łaje,
Bo z diabłami rzecz nie lada.
Myśli: albo wieczne życie,
Albo wiecznie diabłu dusza.
Nic nie mówi, myśli skrycie,
Tylko trochę wargą rusza.
Nadszedł już czas odpowiedzi,
Tukaj oddala się z tłumu
I do pracowni rozumu

Zamknąwszy się, jeden siedzi.
I tam swój traktat raz jeszcze,
Nim stempel przyjęcia zyska,
W surowej uwagi kleszcze
Bierze i porządnie ściska.
Tam myśl rozmaita ścieka
W jedne podobieństwa tygle,
Tam jedną myśl niedościgle
Różnicy nożykiem sieka,
Sieka, topi na kształt wosku,
Aż wycisnął ekstrakt wniosku,
Obejrzawszy wniosek ściśle,
Tak rzekł, po długim namyśle:
"Jakieżkolwiek to fortele,
O których słyszałem z góry,
Czy ich niewiele, czy wiele,
Trojakiej będą natury:
Chcąc kogo przywieść do zdrady,
Trzeba siły albo rady;
Albo podarunkiem skusić,
Albo strwożyć, albo zmusić.
Toż samo krótszymi słowy,
Będzie sylogizm takowy:
Trojaka do zguby droga,
Ciekawość, łakomstwo, trwoga.
Więc kto w tym trojakim względzie
Twardej nie ulegnie probie,

Takiemu już można będzie
Ufać jak samemu sobie".
Tukaj kontent z wynalazku,
Szuka atramentu, piasku,
Idzie kreślić pismo grzechu;
Ale idzie bez pośpiechu,
Już ciemno, pisać niewczesnie,
W atramencie jakieś pleśnie;
Dwie świece musiał zapalić
I dwa kałamarze nalać,
Coś mu zabolalo w łokciu;
Wziął pióro, na piórze włosk
I bardzo spisany nosek;
Otrząsł, przyciął na paznokciu.
Po długim względzie, rozględzie,
Wreszcie pisze: NIECH TAK BĘDZIE.
Chciał dołożyć i nazwisko,
Lecz nim pierwsze T napisał,
Myślał pół godziny blisko,
Głową i piórem kołysał,
I nic więcej nie napisał;
Tylko do pierwszej litery
Dodał małe kropki cztery.
Gdy już napisano widzi,
Jeszcze patrzy, jeszcze bada;
Niechaj z tego nikt nie szydzi,
Bo z diabłami rzecz nie lada.

Lecz jakże się musiał zdumieć,
Gdy głoska B w słowie BĘDZIE
Zaczęła brzęczeć i szumieć,
I wzdymać wszystkie krawędzie.
Kręci się, beczy, podrasta
Jak na drożdżach kawał ciasta,
Dolna litery połowa
Wykurcza się w brzuch i żebra,
U zwierzchniej wypukła głowa
Na kształt ogromnego cebra,
Szyjka jak u osy wąska,
Nosik orła, bródka kozła,
A z jednej go strony końska,
Z drugiej kurza łapka wiozła;
Pogląda okiem wołowem,
Skrzydła na kształt młyńskich wioseł,
Był to diabeł jednym słowem,
Był to Miefistofel poseł.
Jeszcze Tukaj nie mógł wiedzieć,
Czy żegnać, czy prosić siedzieć,
Kiedy przyskoczył zuchwalec,
Porwał za małeńki palec,
Zasadził nożyk pod skórka
I umoczył we krwi piórko;
Piórko wścibił, ścisnął w rękę,
Ręką wodzi pomaleńku.
Gdy już U, K, A, J minął,

Zrobiło się całkiem TUKAJ.

Diabeł świsnął, chychnął, zginął!

Terazże z nim ładu szukaj.

(Koniec części drugiej)

DUDARZ - Myśl z pieśni gminnej

Jakież to dziadek, jak gołąb siwy,

Z siwą aż do pasa brodą?

Dwaj go chłopczyki pod rękę wiodą.

Wiodą mimo naszej niwy.

Starzec na lirze brząka i nuci,

Chłopcy dmą w dudeczki z piórek

Zawołam starca, niech się zawróci

I przyjdzie pod ten pagórek.

"Zawróć się, starcze, tu na igrzysko,

Tu się po siewbie weselim;

Co nam dał Pan Bóg, tym się podzielim,

I do wsi na noc stąd blisko".

Posłuchał, przyszedł, skłonił się nisko

I usiadł sobie pod miedzą;

Przy nim po bokach chłopczyki siedzą

Patrząc na wiejskie igrzysko.

Tu brzmia piszczałki, bija bębenki,

Płoną stosy suchych drewek;

Piją staruszki, skaczą panienki

Obchodząc święto dosiewek.
Milczą piszczałki, głuchną bębenki.
Porzucą ogień gromadka;
Biegą staruszki, biegą panienki,
Biegą do dudarza dziadka.
"Witaj, dudarzu, witamy radzi.
W wesołej przychodzisz dobie;
Pewnie z daleka Pan Bóg prowadzi,
Pogrzej się i spocznij sobie".
Wiodą, gdzie ogień, gdzie stół z murawy
Sadzą dudarza pośrodku;
"Może pozwolisz na trochę stawy
Albo na szklaneczkę miodku?
"Widzim i lirę, widzim piszczałki,
Zagraj co nam samotrzeci,
Napełnim za to tłomok, kobiałki,
I będziem wdzięczni waszeci".
"No, stójcież cicho" - rzekł do gromadki,
"Cicho" - powtarza, w dłoń klaska,
"Jeżeli chcecie, zagram wam, dziatki,
A cóż wam zagrać?" - "Co łaska" -
Wziął w ręce lirę i szklanę sporą,
Miodem pierś starą zagrzewa,
Mrugnął na chłopców, ci dudki biorą,
Brząknął, nastroił i śpiewa:
"Idę ja Niemnem, jak Niemen długi.
Od wiosieczki do wiosieczki,

Z borku do borku, z smugów na smugi,
 Śpiewając moje piosneczki,
"Wszyscy się zbiegli, wszyscy słuchali,
 Ale nikt mię nie rozumie,
Ja łzy ocieram, westchnienia tłumię
 I idę dalej a dalej.
"Kto mię zrozumie, ten się uzali
 I w białe uderzy dłonie;
Uroni łezkę i ja uronię,
 Ale już nie pójdę dalej".
A wtem grać przestał; nim znowu zacznie,
 Przelotem spójrzał po błoni;
Lecz w jedną stronę spoziera bacznie;
 Któż tam stoi na ustroniu?
Stała pasterka i plotła wieniec,
 To uplecie, to rozplecie;
A obok przy niej stoi młodzieniec
 I splecione przyjął kwiecie.
Spokojność duszy z jej widać czoła,
 Ku ziemi spuszczone oko;
Nie była smutna ani wesoła,
 Tylko coś myśli głęboko.
Jak puszką chwieje trawka zielona,
 Choć wiatr przestanie oddychać,
Tak się na piersiach chwieje zasłona,
 Chociaż westchnienia nie słychać.
Wtem z piersi listek zżółkły odepnie,

Listek nieznanego drzewa;
Spójrzy nań, rzuci i z cicha szepnie,
 Jakby się na listek gniewa.
Odwraca głowę, odeszła nieco,
 Podniosła w niebo źrenice,
Nagle na oczach łezki zaświecą
 I róż wystąpił na lice.
A dudarz milczy, brząka powoli,
 A wzrok utopił w pasterce,
Utopił w licu, lecz wzrok sokoli
 Zdał się przedzierać aż w serce.
Znowu wziął lirę i spory dzbanek,
 Miodem pierś starą zagrzewa;
Skinął na chłopców, ci do multanek,
 Brząknął, nastroił i śpiewa:
"Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, liliji i tymianka?
Ach! jak szczęśliwy młodzieniec!
Komu ślubny splatasz wieniec?
Pewnie dla twego kochanka?
Wydają łyzy i rumieniec,
Komu ślubny splatasz wieniec
Z róż, liliji i tymianka.
"Jednemu oddajesz wieniec
Z róż, liliji i tymianka;
 Kocha cię drugi młodzieniec,
 Ty jednemu oddasz wieniec;

Zostawże łązy i rumieniec
Dla nieszczęsnego kochanka,
Gdy szczęśliwy bierze wieniec
Z róż, liliji i tymianka".

Na to szmer powstał, różne pogłoski
Pomiędzy cizbą przytomną,
Tę piosnkę spiewał ktoś z naszej wioski,
Lecz kto i kiedy, nie pomną.

Starzec ucisza, podnosi rękę,
"Słuchajcie, dzieci!" - zawoła -
Powiem, od kogo mam tę piosenkę,
Może on był z tego sioła.

"Kiedym wędrując przez kraje cudze
Królewiec zwiedził przechodem,
Wtenczas przypłynął z Litwy na strudze
Pasterz jakiś z tych stron rodem.

"Smutny był bardzo, ale przyczyny
Smutku nie mówił nikomu,
Odbił się potem od swej drużyny
I nie powrócił do domu.

"Czesto widziałem, czy świecą zorza,
Czyli księżyc w pełnym blasku,
Jak on po błoniach albo u morza
Po nadbrzeżnym błądził piasku.

"Posród skał nieraz, podobny skale,
Na deszczu, wietrze i chłodzie,
Odludny dumał, wiatrom swe żale,

A łzy powierzając wodzie.
"Szedłem ku niemu, spozierał smutnie,
Ale ode mnie nie stronił,
Jam nic nie mówiąc nastroił lutnię,
Zaśpiewał, w struny zadzwonił.
"Łzy mu się rzucą, lecz skinął czołem,
Że się to granie podoba;
Ścisnął za rękę, ja go ścisnąłem
I zapłakaliśmy oba.
"Poznaliśmy się lepiej nawzajem,
I byliśmy przyjaciela.
On zawsze milczał swoim zwyczajem,
I ja mówiłem niewiele.
"Potem, gdy troską strawiony długą
Już nie mógł rady dać sobie,
Ja towarzyszem, ja byłem sługą,
Jam go pilnował w chorobie.
"Nędzny, w mych oczach gasnął powoli.
Raz mię przywołał do łoża:
"Czuję - rzekł - bliski koniec niedoli.
Niech się spełni wola boża.
"Zgrzeszyłem tylko, że moje lata
Tak się nadaremnie starły;
Ale bez żalu schodzę ze świata,
Dawno już na nim umarły.
"Kiedy mię skał tych dziki zakątek
Ukrył przed gminu obliczem,

Odtąd już dla mnie świat ten był niczem;

Żyłem na świecie pamiątek.

"Ty, coś mi wiernym został do grobu -

Kończył ściskając za rękę -

Nagrodzić tobie nie mam sposobu,

Wszakże to, co mam, poświęcę.

"Znasz piosnkę, którą po tyle razy

Śpiewał płacząc nad moim losem;

Pomnisz zapewne wszystkie wyrazy

I wiesz, jakim śpiewać głosem.

"Mam jeszcze z białych włosów zawiązkę

I zeschły cyprysu listek;

Naucz się piosnki, weź tę gałązkę,

To mój na ziemi skarb wszystek.

"Idź może znajdziesz na brzegach Niemna

Tę, której już nie obaczę,

Może jej piosnka będzie przyjemna,

Może nad listkiem zapłacze.

"Nagrodzi starca, do domu przyjmie,

Powiedz..." - Wtem oko ściemniało.

A w ustach Panny Najświętszej imię

Wpół wymówione zostało.

"Silił się jeszcze, i w samym skonie

Na próżno coś wyrzec żądał.

Wskazał ku sercu i ku tej stronie,

Na którą żyjąc poglądał".

Tu przerwał dudarz i szukał okiem,

Dostając listek z papierka;
Lecz już nie była między natłokiem
Ta, której szukał, pasterka.
Z daleka tylko poznał sukienkę,
Bo w chustce skryła twarz boską.
Jakis młodzieniec wiódł ją pod rękę,
Już ich nie widać za wioską.
Przybiegła zgraja, gdzie starzec siedział,
"Co to jest?" - wszyscy pytają;
On nic nie wiedział, może i wiedział,
Ale nie mówił przed zgrają.